Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 23.
dnia 8 Maja 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*"

TOM II.

ROZDZIAŁ I.

W PRZYBYTKU OPINJI PUBLICZNEJ.

Ryszard uniemożliwszy wybór Sterna z kurji większych posiadłości ziemskich, nie poprzestał na tem jednem zwycięztwie. Widząc, że obwód składa się bądź z ludzi ciężko myślących, bądź na wszystko obojętnych, postanowił sam jeden zająć się wyborami włościańskiemi, które w krótce miały nastąpić. Skłaniały go do tego liczne powody. Najpierw bał się, żeby taka jak Stern osobistość, w rzeczy samej z urny nie wyszła; następnie po wrażeniach gwałtownych, jakich niedawno doznał, potrzebował koniecznie ruchu i w nim zapomnienia; nakoniec, mimo że sam łagodnego był usposobienia, czuł potrzebę walki, którą najłatwiej mógł znaleźć na widowni politycznej. Sam nie marzył o żadnem dostojeństwie, tylko prągnął, żeby jego praca była obfita w owoce dla kraju zbawienne. Podczas gdy się wyborami zajmował, nie przestał myśleć o położeniu we wszystkich trzech dzielnicach dawnej Polski. Jakkolwiek były rozdzielone, uważał je ciągle za całość, przynajmniej pod względem moralnym, i z tego wychodząc stanowiska, w duchu sobie powtarzał, że zawsze jedynie to czynić będzie, o czem z góry się przekona, że wyjdzie na pożytek całej jego ojczyzny.

Pan Gozdawa, mimo że nadzwyczaj był uszczęśliwiony mową, którą syn jego miał na zgromadzeniu przewyborczem, do kilku dni ochłonął z pierwszego wrażenia i z początku sam przed sobą, później przed lepszymi znajomymi, w końcu nawet przed Ryszardem zaczął Sterna półgłosem żałować. Wielkie jeszcze szczęście, że wybory prędko następowały; gdyby nie to, kto wie na czem by się było skończyło; nie jeden bowiem ze szlachty idąc w ślady pana Gozdawy, a może i z obawy by się Stern na nim nie mścił, przebąkiwał już o zgodzie...

— Źle się stało — ten i ów szeptał — żeśmy tak niepolitycznie sobie postąpili... daliśmy się unieść pięknym słowom i kto wie, czyśmy wielkiego głupstwa nie palnęli! Nie da się zaprzeczyć, że Stern ma tęgą głowę, a prócz tego należy i to wziąć na uwagę, że jest naszym sąsiadem i nie jeden go potrzebuje...

Tak mówili bankruci; wszakże niezawiśli wytrwali w swojem przekonaniu, tem łatwiej, że wybory do dziesięciu dni nastąpiły, i taką presi[illegible] innych wywarli, że Stern ani jednego gł[illegible] otrzymał. Tym sposobem, jak Ryszard [illegible] został ocalony honor obwodu i kraju[illegible]

Pan Gozdawa był najpewniejs[illegible] wyborach syn jego nie będzie s[illegible] oddawał; niezmiernie się też zd[illegible] że Ryszard zajmuje się teraz wy[illegible]skiemi i znowu przeciw Sternowi [illegible]czątku nie chciał temu dać wiar[illegible] zapytany, sam mu to potwierdził, [illegible]wie się oburzył.

— Ależ serdeńciu! — zawołał — rozważ co czynisz! Czy nie dość, żeś mu raz końca dojechał, chociaż o ile teraz widzę mosterdzieju, i tamto nie było potrzebne; ale co się stało już się nie

odstanie i nie warto więcej o tem mówić... Teraz jednakże sam honor mój Rysiu nie pozwala ci się mięszać do wyborów, bo rozważ przecie sercuńciu, że Stern jest naszym przyjacielem i dobrodziejem... gdyby nie on, Lachocki byłby nas z tąd dawno wypędził... Niegodzi się zatem mosterdzieju przeciw niemu agitować, a równocześnie z usług jego korzystać... Fe Rysiu, to ani po polsku, ani po szlachecku!

— Zdaje mi się ojcze kochany — syn odparł spokojnie — że przekonanie moje o szlachetnem Sterna postępowaniu w Starejwsi już niejednokrotnie wypowiedziałem, sądzę przeto, że do tego przedmiotu wracać niepotrzebuję.. Lecz gdyby on nawet na ojca zgubę nie godził, to i w tym jeszcze wypadku jabym go mógł zwalczać na polu politycznem, wiadomą jest bowiem rzeczą, że dla dobra kraju powinno się nawet przeciw przyjaciołom występować, jeźli się widzi, że ich działalność nie byłaby korzystną.

— Śliczne przekonania mosterdzieju, prześliczne! Szkoda żeś się ich za granicą nauczył, u nas nie zajdziesz z niemi daleko. Polak sercuńciu dla przyjaciela i sąsiada był gotów wszystko uczynić, i pókiśmy takie cnoty wyznawali, byliśmy wolni i szczęśliwi!

Ryszard nic na to nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął. Bo czyż mógł z tym dysputować, który nie znając historji polskiej z jej strony prawdziwej, powtarzał jedynie luźne o niej zdania, które były na ustach wszystkich, i w które sam wierzył?

Pan Gozdawa znowu przemówił:

— Zresztą mój Rysiu choćbyśmy nawet przypu[illegible]e Sterna kandydatura nie jest dla nas ko[illegible]to powiedz mi sercuńciu, na co tobie [illegible]ieszać? Czyś ty bocian, żeby kraj [illegible]

[illegible] kochany wszyscy tak sobie [illegible]estety większość już nie od dziś [illegible]iono by ciągle bez nas i przeciw [illegible]

[illegible]opi wybiorą Rusina, Moskala, to lepiej będzie

— Rusini, mój ojcze, jakkolwiek nas teraz nie lubią, nie przestali nam być braćmi, w najgorszym razie przynajmniej stryjecznymi, prędzej więc lub później zgoda z nimi nie trudna, tacy zaś jak Stern, na wieki będą naszymi wrogami.

Opór syna tak się ojcu nie podoba[illegible] raz pierwszy postanowił wystąpić z najo[illegible] bronią, jakiej mógł użyć przeciw niemu.

— A to ładnie sercuńciu — rzekł ukosem [illegible] poglądając — że córkę bałamucisz, a ojcu szkodzisz?

Ryszard drgnął i pobladł okropnie. W krótce jednak przytomność odzyskał i tak odpowiedział:

— Wiesz kochany ojc[illegible], że jestem człowiekiem honoru... jako taki daję ci więc słowo, że panny Róży nie tylko nie bałamucę, cobym sam za nikczemność poczytywał, lecz nawet jej nie widuję... Co zaś do jej ojca, z tym walczyć będę do [illegible]padłego i na krok mu nie ustąpię, bo tego kraj odemnie żąda. Przykro mi kochany ojcze, że czynię coś przeciw twej woli, obowiązek jednak stawiam po nad wszystko.

Po tej rozmowie pan Gozdawa dał synowi jakiś czas pokój; dopiero gdy Stern raz przyjechawszy, zaczął się przed nim skarżyć na młodego człowieka, usiłował go znowu oderwać od agitacji i na przypadek, gdyby tego nie uczynił, groził mu nawet swoim gniewem. Ryszard wysłuchał [illegible] reprymendy, poczem oświadczył, że postanowienie jego jest niezłomne. Pan Gozdawa w rzeczy samej się rozgniewał, jednakowoż nazajutrz dał się przeprosić i tylko patrząc na Rysia bardzo się dziwił, z kąd w jego jedynaku wziął się taki upór, skoro on sam, tak łatwo zdanie zmieniał, i z dobrego serca gotów był zawsze wszystko uczynić.

Ryszard tymczasem jeździł po wioskach okolicznych, naradzał się z duchowieństwem i starostą, odwidzał mieszczan i wieśniaków, badał wreszcie przedwyborców, którzy mieli na posła głosować. Wśrod tej agitacji zrobił jedno spostrzeżenie. Oto opinja niby cała była przeciw Sternowi, a mimo to wybór jego był prawdopodobny i to z dwóch przyczyn: najpierw żydzi po wsiach kupowali dla niego głosy ukradkiem, płacąc za jeden po 5 i 10 guldenów, następnie szlachta sama bojąc się, żeby z urny Rusin nie wyszedł, przemawiała jawnie za jego kandydaturą. Co do partji rusińskiej, ta mimo iż w obwodzie ludność była rusińska, dla braku przywódców inteligentnych i wpływowych, niej miała żadnej siły i walki nie mogła rozstrzygnąć.

Wśród stosunków tego rodzaju, w dwóch głowach, to jest Ryszarda i Sterna, zrodziła się myśl

jedna i ta sama. — Trzeba porozumieć się z *Teraźniejszością* — powiedział sobie pierwszy — bo tylko ona może szlachtę należycie oświecić. — Trzeba pozyskać pana Walerego z *Teraźniejszości* — powtarzał Stern garbusowi — bo tylko śmiałe wystąpienie tego pisma może przestraszyć młodego Gozdawę!

Jak sobie powiedzieli tak uczynili. Jednego dnia pojechał Stern do stolicy, nazajutrz Ryszard za nim podążył.

Właśnie gdy nasz przyjaciel jednokonną dorożką przed hotel zajechał, z drukarni *Teraźniejszości* wybiegł cwałem chłopiec osmolony i popędził w tę część miasta, gdzie mieszkał Żylewicz.

Ten leżąc na łóżku nierozebrany, chrapał w niebogłosy. Dzieci tymczasem wstały, matka je umyła i uczesała, i bojąc się ojca zbudzić, wyniosły się do kuchni, gdzie ich śniadanie czekało.

Nagle wpada chłopiec z drukarni i nikogo o nic nie pytając, jakby tu był gospodarzem, mija kuchnię, wchodzi do pokoju, zbliża się do łóżka i chwyciwszy śpiącego za ramię, szarpiąc go woła:

— Proszę pana, niech pan wstaje!

Pan Walery przestał chrapać i nieznacznie podniósł powieki:

— Co? Co? — mruknął.

— Niech pan wstaje, już pół do jedenastej!

Zamiast na to odpowiedzieć, śpiący lewą nogą, która z łóżka zwisała, tak chłopca w brzuch kopnął, że ten w kąt pokoju się zatoczył, poczem flegmatycznie do ściany się obrócił. Chłopiec jęknął wprawdzie, lecz ani się tem zniechęcił, ani przestraszył. Jednym susem był znowu przy łóżku, a zająwszy tym razem takie stanowisko, by mu się nic złego stać nie mogło, na cały głos krzyknął w ucho śpiącemu:

— W redakcji nikogo nie ma! Gazeta dziś nie wyjdzie!

To poskutkowało. Pan Walery obrócił się, oczy otworzył i czoło marszcząc zapytał:

— Coś powiedział szwajnogo, co?

— Że gazeta nie wyjdzie, bo w redakcji nie ma nikogo. Zecery skarżą się, że nie mają co robić.

— Dobrze już, dobrze, wynoś się szwajnogo! Ja tam zaraz przyjdę. Niech tymczasem składają fejleton na dwie strony i ten artykuł o kagańcach dla psów, który od dwóch tygodni u nich leży.

Chłopiec oddalił się, a pan Walery często i głośno ziewając, począł dźwigać się z łóżka. Weszła żona i zapytała, czyby sobie czego nie życzył; burknął coś niezrozumiałego pod nosem. Dzieci wystraszone stanęły przy progu, patrząc na tatka, który miał zaraz wyjść do redakcji. Milcząc udał się do kuchni, nabrał wody w kwartę i podał ją najstarszemu chłopczykowi, sam zaś zbliżył się do cebrzyka, który stał w kącie. Malec wiedząc co ma czynić, nalewał ojcu wodę na ręce, ten zaś począł sobie twarz obmywać. Po dokonaniu tej czynności, w toalecie jego najważniejszej, zdjął z pieca grzebień, trochę się przyczesał, włożył kapelusz i powiedziawszy: Bądźcie zdrowi! ruszył do sieni. Żona odprowadzając męża, oczyszczała szczotką jego surdut, na którym było pełno pierza, włosów i śmiecia. Słowa do niej nie przemówił, ani się do dzieci nie obrócił. Biedna żona i matka zatrzymała się na progu ze swoim drobiazgiem i żałośnem spojrzeniem odprowadzała męża i ojca.

Niedaleko redakcji wstąpił do szynku na kieliszek żytniówki, a kupiwszy sobie za dwa centy rogalika z solą, zjadał go z apetytem, zdążając najludniejszą ulicą do przybytku opinji publicznej.

Redakcja *Teraźniejszości* składała się z dwóch pokojów. Pierwszy był obszerny o dwóch oknach i w tym stało pod ścianami 7 stolików. W drugim nierównie mniejszym, miał swoje biuro naczelny redaktor i właściciel gazety, pan Bolesław Wyżyński, staruszek siedmdziesięcioletni. Prócz biurka orzechowego, była tam także szafka z książkami, sofka i kilka krzeseł ciemną materją obitych.

Na biurku pana Walerego, stojącem w pierwszym pokoju między oknami, leżały stosy gazet polskich i niemieckich, rozmaite rękopisy i listy. Służącemu, który popołudniu w redakcji porządki robił, nie było wolno ani tknąć tych przedmiotów; pan Żylewicz bowiem mógł każdej chwili czegoś potrzebować, a tylko on jeden wiedział, gdzie co leżało, i wśród bezładu wybornie sam się orjentował.

Na pięć minut przed zjawieniem się pana Walerego, weszło do redakcji kilku mężczyzn. Wszyscy usiedli przy stołach w pierwszym pokoju. Gdy pan Walery próg przestąpił, tuż za nim wszedł Ignacy, najstarszy między zecerami, mężczyzna słuszny i chudy, trzymając w ręku plik papierów.

— Proszę pana — rzekł — zecery mało mi głowy nie urwą, bo nie mają co składać.

— A fejleton dałeś pan na dwie strony?

— Dałem.

— A o kagańcach?

— Dałem i o psach, i sprawozdanie z Gdańska Makowskiego, które od pięciu dni leży, lecz jeszcze mało... Na „cicero“ nie mamy jeszcze ani słowa, na „garmond“ brakuje przeszło 7 szpalt.

— Będzie, będzie, składajcie tymczasem „petity“ i „borgisy.“

— Dobrze panu mówić, że będzie, lecz jedenasta właśnie wybiła.

— Wynoś się szwajnogo! — zakonkludował pan Walery i do nikogo więcej słowa nie przemówiwszy, usiadł przy swojem biurku. Jego koledzy coś tymczasem pisali, lub przynajmniej udawali że piszą.

Przejrzał listy, na niektórych zanotował: „kronika“ — nożycami powycinał z polskich gazet co uznał za stosowne, potem zaczął przeglądać dzienniki niemieckie, między niemi najuważniej: *Neue freie Presse*, a pozakreślawszy ważniejsze ustępy, wziął z nich kilka i podszedł do biurka, przy którym siedział mężczyzna szpakowaty.

— Zbierz pan te wiadomości — rzekł palcem na gazety pokazując — i zrób z nich porządną korespondencję ze Stambułu. Podlej ją tylko dobrym sosem lokalnym, żeby całkiem jak oryginalna wyglądała... Pan zaś — tu zwrócił się do człowieka znacznie młodszego, który przy drugim stole siedział — napisz z tych oto dzienników oryginalną korespondecję z południowej Rosji. Nie żałuj tylko Moskala i dobrze mu na sól. Powiedz że jego armia zdezorganizowana, że między kozakami wybuchły rozruchy, że epidemja dziesiątkuje szeregi, że wyekwipowanie artylerji najgorsze, i zakończ uwagą, że takie wojsko musi zginąć. Korespondencja w tym guście zrobi wrażenie.

Podczas gdy pan Walery takie polecenia wydawał, zeszli się nareszcie wszyscy członkowie redakcji, a na samym końcu pojawił się pan Wyżyński.

Tego nikt się nie spodziewał, więc i zdziwienie było ogólne. Właściciel i naczelny redaktor *Teraźniejszości*, wyjechawszy przed tygodniem do Wiednia, miał wrócić dopiero z końcem miesiąca, z czego współpracownicy korzystajac, schodzili się do redakcji zamiast o 8 rano, dopiero koło 12 w południe; nagle zjawia się ani proszony ani oczekiwany i to właśnie w chwili, gdy Ignacy na próżno rękopisów wygląda, a pan Walery jeszcze się nie namyślił, o czem pisać będzie. Pan Wyżyński nie należał jednak do ludzi tępego umysłu; zaledwie wszedł, zorjentował się w położeniu, i witając się z bliżej stojącymi, rzekł do swego zastępcy.

— Niech pan artykułu wstępnego nie pisze, ja sam dam „cicera“ półtorej szpalty.

Pana Żylewicza bardzo to ucieszyło. Jakkolwiek w świecie dziennikarskim był on zdolnością pierwszorzędną, nie zawsze, zwłaszcza po nocy bezsennie strawionej, miał dobre myśli do artykułu kierującego; w podobnem położeniu i teraz się znajdował. Na szczęście sam właściciciel gazety z kłopotu go wybawił.

Gdy pan Wyżyński wszedł do swego pokoju, Żylewicz niezwłocznie tam podążył i długo o Sternie z nim rozmawiał. Potem wrócił do siebie usiadł przy biurku i prędko zaczał pisać. Inni to samo robili. Ciszę przerywało ledwie piór skrzypienie i kroki Ignacego, który od jednego do drugiego stolika podchodząc, zabierał gotowe rękopisy i do drukarni odnosił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Młody hrabia skończył właśnie spowiadać się przed matką ze wszystkich swoich grzechów i przewinień, z owych licznych szaleństw, o których Oswald wspomniał mimochodem, i o ile się zdawało otrzymał z wszelką łatwością rozgrzeszenie. Wprawdzie matka mocno głową potrząsała, jednak w jej słowach była czuła wybaczliwość, zamiast ostrych wymówek i nagany.

— Oj! lamparcie, lamparcie! — mówiła głaszcząc syna po głowie i po twarzy. — Nie lada nadużywałeś wolności. Czas wielki by matka znowu ci trochę cugli przykróciła. Lecz czy teraz zechcesz jej rad słuchać? — westchnęła.

— Twojej drogiej rączce, zawsze się prowadzić pozwolę — odrzekł syn całując rękę matki z rzewną czułością. Wpadając jednak w swój zwykły ton lekki i żartobliwy, dodał wesoło: — Zapowiadałem naprzód Oswaldowi, że wyrok łaskę zwiastować będzie. Czyż to ja nie znam mojej ślicznej, najlepszej i najwyrozumialszej mamy?

Zachmurzyła się twarz hrabiny.

— Oswald, jak się zdaje, bardzo źle się wywiązał ze swego zadania — odparła — odgadłam to z twoich

listów. Jako starszy i rozsądniejszy, powinien był stać na straży przy twoim boku, on natomiast puszczał cię prawie zawsze samopas. Gdyby nie twoja natura, wprawdzie trochę lekkomyślna i burzliwa, lecz w gruncie szlachetna, nie była cię wstrzymywała od popełniania czegoś więcej niż prostych szaleństw, które można jeszcze darować i wytłumaczyć porywami młodzieńczemi, on by ci był pewno pozwolił lecieć na samo dno przepaści, pochłaniającej częstokroć nie tylko zdrowie i siły, lecz nawet honor i dobre imię młodzieńca.

— Dosyć ja się od niego kazań nasłuchał. Moja li wina, żem na nie uwagi nie zwracał. Ale teraz kochana mamo jedno pytanie... Dlaczegoś Oswalda skazała na wygnanie, i w lewem skrzydle umieściła?

— Skazała na wygnanie!... co za wyrażenie! Widziałeś przecie jakie odmiany porobiłam w twoich pokojach. Podobały ci się, czy nie?

— Bardzo nawet... ale...

— Musisz teraz mieszkać osobno — wpadła mu w słowo hrabina. — Skoro obejmiesz ordynację, nie możesz mieć równych apartamentów z twoim kuzynem. On to sam pojąć powinien.

— Nie potrzeba go było jednakże, aż do tego sowiego gniazda wyprawiać; do tej starej rudery. W głównym budynku dość miejsca byłoby się dla niego znalazło. Twoje rozporządzenie dotknęło Oswalda do żywego. Cofnij je... proszę cię o to usilnie.

— Nie mogę tego cofnąć, gdyż narażiłabym się na drwiny pokątne całej służby. Jeżeli chcesz działać wręcz przeciwnie moim rozkazom, wolno ci!

— Mamo! — zawołał hrabia z wyrzutem — wiesz że się nigdy nie mięszam w twoje sprawy. Mogłaś jednak nie robić mi tej przykrości... wszak Oswald i tak wkrótce nas opuszcza.

— W jesieni dopiero. Mój brat poczynił już kroki po temu, aby go wkręcić do służby państwowej.

Edmund patrzał w ziemię.

— Zdaje mi się, że Oswald ma inne plany na przyszłość — bąknął nieśmiało.

— Inne plany? — powtórzyła hrabina. — Nie spodziewam się, aby chciał po raz drugi być nieposłusznym. Gdy szło o karjerę wojskową, wymogłeś na mnie ustępstwo w tym względzie. Byłeś jak zawsze po jego stronie. Dotąd mu niezapomniałam tego niegodziwego uporu!

— To nie był upor — bronił Edmund — tylko przekonanie silne, że nosząc wielkie imię, Oswald jako oficer nie potrafi się utrzymać w armji bez apanażu.

— Któregobyś mu przecie nie odmówił i z zwykłą u ciebie hojnością, tenże mu co miesiąc dosyłał.

— On właśnie nie chce za żadną cenę być dłużej od nas zależnym. Posiada szlachetną dumę, która się tem oburza.

— Powiedz raczej iż ma w sobie pychę szatańską! — hrabina żywo mu przerwała. — Walczyłam ja z nią od pierwszego dnia, gdy wstąpił w progi tego domu. Gdyby nie wyraźny rozkaz mego męża, ustnie i pisemnie zostawiony, iż ma dzielić z tobą wszystkie studja, a nawet podróże, nigdy bym ci go nie była dała za towarzysza. Był mi zawsze antypatyczny! Nie mogę znosić tego wzroku zimnego, przenikającego, tych oczu, które zdają się wiecznie stać na czatach i podpatrywać, czy nie wyszpiegują choćby to było najgłębszą tajemnicą osłonięte.

Edmund w głos się roześmiał.

— Ależ mamo, robisz z Oswalda jakiegoś ajenta policyjno-kryminalnego. Nie przeczę, że ma oko bystre i dar odgadywania i poznawania ludzi, oraz wydawania o nich trafnych sądów, gdzie ja naprzykład, najczęściej nic nie spostrzegam i niczego się nie domyślam. Tu atoli w Ettersberg nie może przecie rozwijać swojego talentu badawczego. U nas dzięki Bogu! nie ma żadnych tajemnic.

Hrabina nad stołem pochylona przerzucała papiery jakby pomiędzy niemi czegoś szukała.

— Bądź jak bądź — odrzekła po chwili — nie pojmuję twojego do Oswalda przywiązania! Ty tak otwarty, tak gorąco wszystko czujący, zawsze z sercem na dłoni, a tamten zimny, ponury, zamknięty w sobie. Tak przystajecie jeden do drugiego, jak ogień do wody.

— Les contrastes se touchent, droga mateczko. Może właśnie dla tego tak się kochamy — zaśmiał się Edmund. — Oswald nie jest wcale uprzejmym, to chętnie przyznaję; dla mnie bywa nawet bezwzględnie mrukliwym i opryskliwym. Jednak coś mnie ciągnie do niego, a i on mnie kocha... wiem o tem.

— Myślisz? — wtrąciła hrabina ironicznie — co w tem, to się wielce mylisz. Oswald należy do tych, którzy kąsają rękę chleb im podającą, a im więcej od kogo dobrodziejstw otrzymali, tem go głębiej i goręciej za to nienawidzą. Mnie nigdy nie zapomniał, że moje ojca twojego zaślubienie, zniweczyło jego świetne nadzieje, tobie zaś nie może darować, żeś się wcisnął pomiędzy niego a majorat, o którym marzył, że go ma jakby w kieszeni. Lepiej ja go znam niż ty!

Edmund zamilkł. Wiedział z doświadczenia, iż obrona jego sprawę zawsze pogorszała, gdyż tu była w grze zazdrość macierzyńska, podrażniona za każdym razem, gdy syn zdradzał się otwarcie z miłością dla kuzyna i towarzysza nierozłączonego od lat dziecięcych. Rozmowa sama z siebie z resztą ustała, gdyż przedmiot tejże wszedł do pokoju.

Oswalda „dzień dobry“ i hrabiny odpowiedź były równie sztywne i zimne jak wczorajsze powitanie. Mimo iż uczucia stryjenki były tak Oswaldowi nieprzyjazne, tej czczej formy nigdy mu nie wolno było pominąć. Co dzień rano musiał przyjść powiedzieć jej „dzień dobry“ i o zdrowie zapytać. Tym razem rozmawiano o odbytej podróży. Edmund opowiadał to i owo, ze zwykłą u niego żywością i bujnością wyobraźni, Oswald dorzucał swoje uwagi trafne, lecz treści

poważniejszej i tym sposobem wizyta, która zwykle na minuty się liczyła, przeciągnęła się o wiele dłużej.

— Obydwaj bardzoście się odmienili przez czas podróży — zauważyła hrabina — ty szczególnie Edmundzie z twoją cerą brunatną, wyglądasz zupełnie na południowca.

— I często mnie też brano za Włocha lub Hiszpana. W tym względzie niestety, nic nie odziedziczyłem po mojej pięknej, jasnowłosej mateczce.

Hrabina uśmiechnęła się.

— Myślę, iż możesz być zadowolony, z tego co ci natura udzieliła. Wprawdzie do mnie nie jesteś w niczem podobny, raczej do twego ojca.

— Do mego stryja? — wtrącił Oswald. — Niekoniecznie!

— Jak możesz o tem sądzić — przerwała hrabina niecierpliwie — ty i Edmund byliście jeszcze dziećmi, gdy mąż mój umarł....

— Nie mamo — wpadł jej Edmund w słowo. — Nie zadawaj sobie daremnego trudu, by wyszukać jakiekolwiek między nami podobieństwa. Wprawdzie ojca tylko jak przez sen sobie przypominam, lecz mamy przecież doskonały jego wizerunek wielkości naturalnej. Nie mam z niego jednego rysu, co jest tem szczególniejsze, że właśnie w naszym rodzie, charakter fizjonomji zwykł się odbijać z pokolenia w pokolenie, jakby w źwierciedle. Popatrz na Oswalda, to prawdziwy Ettersberg od głowy aż do stóp. Ten podobny, rys po rysie, do szeregu portretów familijnych, które wiszą w sali, a w których spostrzegamy przez kilka wieków powtarzające się te same linie charakterystyczne. Bóg raczy wiedzieć, dla czego mnie natura odmówiła historycznego podobieństwa i nie uznała godnym tegoż.... Coś ty się tak na mnie wypatrzył Oswaldzie?

Oczy młodego człowieka spoczywały na Edmundzie z wyrazem badawczym, jak by go chciał na wskróś przeniknąć.

— Patrzę, bo znajduję, że masz słuszność zupełną — odparł zimno zapytany. — Istotnie, w tobie nie odbił się ani jeden rys z rodu Ettersbergów.

— To znowu jedno z tych twoich twierdzeń, wypowiedzianych apodyktycznie, a bez podstawy — odrzekła hrabina tonem gniewnym i ostrym. — Takie familijne podobieństwa, których brakuje często w wieku młodym, występują tem wybitniej w latach późniejszych. I u Edmunda zaszedł ten sam wypadek.

Młody hrabia potrząsł głową przecząco:

— Wątpię bardzo. Jam się widocznie wykoleił i wyemancypował z pod odwiecznej reguły. Nie raz pytam sam siebie, jakim cudem, ja, z moją krwią gorącą, z porywami szalonemi, za które bury jak grad sypią się na moją głowę, z naturą burzliwą i niespokojną, jak szampan z butelki tryskający, jakim cudem powtarzam znalazłem się w tym rodzie starożytnym, tak przerażająco poważnym i rozumnym, a między nami mówiąc cokolwiek nudnym i ociężałym. Oswald co prawda, wiele więcej ma kwalifikacji na przedstawiciela tegoż rodu niż moja osoba.

— Edmundzie! — zawołała hrabina, tym razem czerwona z oburzenia. Nie można było wiedzieć atoli, czy je wywołało ostatnie twierdzenie, czy też orzeczenie, że ród Ettersbergów był nudnym i ociężałym.

— Tak, tak — Edmund znowu zaczął cokolwiek pomięszany — nie powinien byłem wyrażać się w ten sposób. Przekonaj że się mateczko raz jeszcze, jak mało odziedziczyłem z owych historycznych doskonałości rodu Ettersbergów, nawet nie mam dotąd najmniejszego zastanowienia nad tem co mówię. Przepraszam bardzo szereg moich antenatów, za słowa lekkomyślne, które mi się mimowolnie wyrwały, i nie były zgodne z należnem tymże uszanowaniem.

— Zdaje mi się, że stryjenka w tej chwili zupełnie co innego miała na myśli — wtrącił Oswald najspokojniej.

Hrabina usta do krwi zagryzła. Jej chmurne oblicze dostatecznie wskazywało jak nienawistnym jest jej ten wzrok zimny i przenikający, który teraz na niej spoczął.

— Dajcież raz pokój tej sprzeczce niedorzecznej — odrzekła nakazująco. — Tradycja rodowa wskazuje wyjątki, tak dobrze za, jak i przeciw familijnym podobieństwom. Oswaldzie, życzę sobie, abyś przejrzał te papiery. Jesteś przecie ukończonym prawnikiem. Nasz adwokat zdaje się wątpić o pomyślnem dla nas tej sprawy zakończeniu, myślę jednak iż Edmund podzieli moje zdanie, że nam się dziś już cofać nie wypada, i musimy sprawę popierać, aż do wyroku w ostatniej instancji.

To mówiąc posunęła ku Oswaldowi cały plik papierów na biurku jej leżący. Rzucił na nie okiem:

— Ach! to sprawa radcy Rüstow'a z Brunneck. — Mój Boże! — zawołał. — Czyż ta historja jeszcze się nie skończyła? Proces zaczął się przecie przed naszym odjazdem?

Oswald uśmiechnął się ironicznie:

— Widocznie nie masz najmniejszego wyobrażenia o podobnych sądowych procedurach. Procesa tego rodzaju ciągną się zawsze latami. Pozwoli stryjenka. że papiery do mego pokoju zabiorę, by je tam przejrzeć dokładnie. Może jednak wprzód Edmund zechce...

— Przez miłosierdzie Boże! — cofnął się młody hrabia o krok w tył z komicznem przerażeniem — tylkoż mnie przynajmniej nie każ się tykać tych foljałów. Zresztą, cała ta nudna sprawa, już mi dawno z głowy wywietrzała. Coś, jak przez sen sobie przypominam, że jakiś pan Rüstow, poślubił córkę stryja naszego, Franciszka, i rości sobie pretensje do majątku Dornau, który tenże stryj mnie testamentem przekazał.

— Do czego miał zupełne prawo — dodała hrabina — gdyż to małżeństwo było zawarte przeciwko wyraźnej woli ojca i nigdy przez niego nie było potwierdzone. Tym mesaliansem córka zerwała wszelkie węzły familijne; to też zupełne jej przez ojca wydziedziczenie, było naturalnem następstwem kroku tak nierozważnego,

jak również naturalną jest i ta okoliczność, że nie mając bliższych krewnych, stryj tobie majątek zapisał, chcąc przez to powiększyć dochody majoratu, i podnieść świetność rodu waszego.

Edmund lekko brwi zmarszczył.

— Wszystko to być może — westchnął — lecz dla mnie ta kwestja była i jest nader nieprzyjemną. Czy ja potrzebuję pytać się o Dornau, będąc panem na Ettersbergu? Jest to zawsze wdzieranie się w cudze prawa, gdyż bądź jak bądź, pominąwszy niesnaski familijne i testament stryja, byli do tego majątku bliżsi spadkobiercy. Najchętniej zakończyłbym tę sprawę układem obopólnym.

— Tego nie możesz uczynić! — zawołała żywo hrabina. — Gburowatość i bezwzględność pana Rüstowa, nadała tej sprawie od pierwszej chwili taki obrót, który wszelkie przyjacielskie porozumienie wyklucza. Sposób, w jaki chce zwalić testament, i ciebie jako uznanego spadkobiercę atakuje, jest ubliżający, i każde ustępstwo z naszej strony, byłoby wobec jego zuchwałości, słabością nie do darowania. Zresztą nie masz prawa negować wyraźnej woli nieboszczyka. On chciał zupełnie ignorować tę jakąś panią Rüstow, a tobie wypada się do tego zastosować.

— Ona jednak dawno już umarła — wtrącił Edmund. — Jakimże prawem mąż jej jako spadkobierca występuje?

— W imieniu córki, która po niej została.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie, a Edmund skoczył w górę, jak gdyby kto pod niego stos galwaniczny podłożył.

— Jego córka? Więc on ma córkę?!

— Ma. Panienkę, o ile wiem ośmnaście lat liczącą obecnie.

— Więc ta młoda dama i ja, jesteśmy owymi zajadłymi przeciwnikami?

— Niezawodnie! Ale dlaczegoż cię to naraz tak bardzo zaintrygowało?

— Victoria! Victoria! Mam już ją! — krzyknął Edmund uszczęśliwiony. — Oswaldzie, to jest z pewnością nasza wczorajsza zachwycająca nieznajoma! Dla tego spotkanie nasze znalazła tak komicznem; dla tego nie chciała wyjawić swojego nazwiska; ztąd owe tajemnicze odwoływanie się na stosunki między nami istniejące... wszystko stosuje się słowo w słowo! To ona! ona! bez żadnej wątpliwości!

— Czy powiesz mi nareszcie, co to wszystko znaczy? — odezwała się nader kwaśno hrabina, uważając całe syna postępowanie, jako zupełnie niestosowne.

— Zaraz mateczko, zaraz! Otóż wczoraj poznaliśmy młodą osobę, czyli raczej ja ją poznałem, gdyż Oswald jak zwykle, ani nie spojrzał w tę stronę. Za to ja z podwójną gorliwością nią się zająłem. — Tu zaczął mówić o wczorajszem wydarzeniu, z najdrobniejszemi szczegółami, i z ogromnym tryumfem, że przecież odkrył nazwisko nieznajomej. Opowiadanie jego jak zwykle tryskało żywością i dowcipem, nie potrafił nim jednak wywołać uśmiechu na usta matki, przeciwnie co raz chmurniejszem robiło się jej oblicze. Gdy skończył opisem pełnym uniesienia, piękności panny Rüstow, matka odezwała się tonem suchym i lodowatym:

— Zdajesz się uważać jako przyjemność, to spotkanie niefortunne. Mnie byłoby ono bardzo dotkliwem. Czyż to miła rzecz, spotykać się z osobami, względem których występuje się nieprzyjaźnie?

— Nieprzyjaźnie? — zaprotestował Edmund z żywością. — W obec ośmnastoletniej panienki, nie potrafiłbym zdobyć się na podobne uczucie; co zaś do panny Rüstow, choćby sięgnęła po cały Ettersberg, jeszcze czułbym się w obec niej bezbronnym. Z najwyższą radością złożyłbym u jej nóg Dornau z przyległościami, gdyby tylko...

— Edmundzie, przestań pleść podobne androny! — wpadła mu w słowo hrabina. — Wiem niestety, żeś aż nadto zdolny do szaleństw w tym rodzaju, gdy idzie jednakże o rzeczy wielkiej wagi, bardzo sobie wypraszam mowy tak dziecinne i lekkomyślne! Proces — jak już wspomniałam — prowadzony jest od początku przez naszego przeciwnika, z goryczą i zawziętością, która wszelkie osobiste zbliżenie robi niepodobnem. Spodziewam się, iż raczysz to uznać, i będziesz starannie unikał zetknięcia się powtórnego z tymi ludźmi. Tak sobie życzę, i tego od ciebie wymagam!

Na znak zupełnej niełaski, podniosła się i nie spojrzawszy więcej na syna, z głową dumnie podniesioną wyszła z pokoju.

Młody ordynat, mimo iż hrabina raz po raz z takim naciskiem o jego nowej godności wspominała, dotąd nie śmiał się wyemancypować z pod despotycznego berła swej mamy. I teraz stał jak trusia na środku pokoju, słowa nie odpowiedziawszy, a przecież ów proces, jego się tyczył wyłącznie.

— To było do przewidzenia — rzekł Oswald, skoro się drzwi z trzaskiem zamknęły. — Lepiej było o wszystkiem zamilczeć, tak jak ci panna Rüstow radziła.

— Czyż mogłem się spodziewać, że rzecz zupełnie niewinna, taką burzę wywoła?! Natrafiłem niestety na srogą nienawiść, coś w guście walki Gwelfów z Gibellinami, co jednak nie przeszkodziło bynajmniej kochać się Julji w pięknym i młodym Romeo. Ja również na to zważać niemyślę i temi dniami do Bruneck się wybiorę:

Oswald wypuścił z rąk papiery, które dotąd przeglądał.

— Ty chcesz panu radcy oddać wizytę? — zawołał na prawdę przerażony.

— Pewno, że chcę! Czy dla tego, że nasi wspólni adwokaci jakiś tam proces prowadzą, o który ja się tyle troszczę, co o śnieg przeszłoroczny, miałbym się wyrzec tak rozkosznej znajomości. Właśnie to będzie najlepszym pretekstem, by pojechać przedstawić się mojej pięknej powódce, jako jej przeciwnik i nieprzyjaciel.

— Pan Rüstow wyrzuci cię za drzwi niezawodnie —

wtrącił sucho Oswald. — Znany jest na całą okolicę, ze swojej bezwględnej brutalności.

— Będę zatem o tyle grzeczniejszym. Ojcu tak pięknej córki, wiele się wybacza, zresztą i ten niedźwiedź musi mieć jakąś słabą stronę. Nie patrz że się tak ponuro, jakbyś mnie zjeść chciał Oswaldzie! Czyś zazdrośny? W takim razie jedź ze mną i próbuj szczęścia.

— Oszczędź mi proszę, tych żartów bezsensnych! — rzucił się Oswald; poczem wstał i poszedł ku oknu. Głos jego drżał rozdrażnieniem z trudnością ukrywanem.

— Zrobisz jak chcesz. Ale jeszcze jedno! — twarz młodego hrabiego nagle spoważniała, rzucił przytem wzrokiem niespokojnym na drzwi, któremi matka wyszła. — Nadmieniłem, coś... zdaleka... o twoich planach na przyszłość. Pora nie po temu, wierzaj mi, aby z niemi występować. Chciałem ci ten grunt przygotować i oszczędzić przykrości, lecz przy najlżejszej wzmiance, taka burza zawarczała mi nad głową, żem umilkł czemprędzej.

— Po co odwlekać? Ta kwestja musi być w tych dniach roztrzygniętą. Nie widzę potrzeby taić się dłużej z mojemi zamysłami.

— Tylko przynajmniej przez tydzień się wstrzymaj — zawołał Edmund kwaśno. — Mam teraz inne sprawy na głowie, i nie mam czasu pośredniczyć wiecznie między matką a tobą, jako anioł pokoju.

— Czy cię kiedy oto prosiłem? — odrzucił Oswald, tak szorstko i opryskliwie, że hrabia zerwał się na równe nogi.

— Oswaldzie! wszystko ma swoje granice. Miałem wprawdzie czas się oswoić z twoim tonem niegrzecznym i odtrącającym nie wiem jednak, dla czego mam zawsze przyjmować od ciebie, to, czego bym nie zniósł od nikogo innego!

— Bo widzisz we mnie uciśnionego, zależnego, więc poczucie sprawiedliwości, którego nie potrafiono dotąd całkiem z serca twego wyrugować, robi cię tak szlachetnie wspaniałomyślnym!... dla ubogiego krewnego.

Taka bezmierna gorycz wiała z tych słów, że gniew Edmunda znikł natychmiast.

— Czujesz się obrażony — odrzekł łagodnie — i słusznie. Dla czego jednak mnie karzesz, za wczorajsze wydarzenie? Czyż w tem moja wina? Wiesz, że dotąd nie nauczyłem się postępować w brew matki rozporządzeniom, choćby te zupełnie z mojem zdaniem się nie zgadzały. Kocham ją zanadto, i czuję nawzajem, że mnie nikt tak kochać jak ona nie potrafi. W tym atoli wypadku nie ustąpię, i albo ty się napowrót do mnie wrócisz lub ja jutro najdalej przenoszę się do tego siedliska swierszczów, pająków i nietoperzy, które tobie na mieszkanie przeznaczono.

Gorycz zacierała się powoli w rysach Oswalda; głos jego brzmiał już łagodniej, gdy odrzekł:

— Byłbyś doprawdy w stanie to uczynić dla mnie Edmundzie? Ale daj temu pokój. Nie warto i mówić o tem, gdzie przepędzę tych kilka jeszcze miesięcy. Pokój w lewem skrzydle zupełnie mi wystarczy. Jest na uboczu, właśnie taki spokojny, jak do studjów potrzebuję. Wolę być tam, niż tu w waszym pałacu.

— W waszym pałacu! — powtórzył Edmund tem dotknięty. — Jak gdyby niebył także i twoim domem, od lat niepamiętnych. Tylko się w tem lubujesz, żeby względem nas robić się zupełnie obcym. Przyznaj Oswaldzie, że i twoja w tem wina, iż z moją matką, jesteście wiecznie na stopie wojennej, *couteaux tirés*. Czyś kiedy okazał jej najmniejszą przychylność, najlżejszą uległość. Nie mógłbyś przecie czasem przezwyciężyć się do tego?

— Gdzie idzie o niewolnicze, ślepe poddanie się woli obcej, która by chiała zwichnąć całą moją przyszłość. Nie!...

— No, to możemy oczekiwać pięknych scen familijnych! — mruknął Edmund wielce rozstrojony — Pokoju więc zmienić nie chcesz?

— Nie chcę.

— Jak ci się podoba! *Adieu*!

Skierował się ku drzwiom, lecz jeszcze do nich nie doszedł, gdy Oswald opuścił framugę, w której stał dotąd i za nim pospieszył.

— Edmundzie!

— I cóż? — obrócił się ku niemu.

— Zostanę w każdym razie w lewem szkrzydle ale... dziękuję ci!

Młody hrabia uśmiechnął się.

— Doprawdy? To brzmi prawie jakby przeprosiny. Nie myślałem, że potrafisz być tak czułym Oswaldzie — nagle rzucił się mu na szyję z oczami łzami lśniącemi. — Wszak to nie prawda bracie, że ty mnie nienawidzisz, że mi zazdrościsz majoratu, że mi nie możesz darować, tego, czemu ja przecie winien nic jestem, że moje przyjście na świat zniszczyło twoje świetne nadzieje?

Oswald patrzył mu w oczy przenikliwie. Był to znowu ten wzrok badawczy, który zdawał się czegoś szukać w rysach kuzyna. Tym razem jednak, twarz tak zawsze ponura rozjaśniła się i ożywiła uczuciem szczerem i gorącem, nachylił się i całując w czoło Edmunda rzekł:

— Nie wierz temu. Ciebie kocham jak brata.

— Wiedziałem o tem! — krzyknął Edmund uszczęśliwiony. — A więc dajmy pokój wszelkim nieporozumieniom! Co do naszej czarującej znajomej-nieznajomej, naprzód ci zapowiadam, iż użyję całej mojej uprzejmości, której nikt się jeszcze w świecie oprzeć nie zdołał, wywołał nią efekt kolosalny, i wezmę szturmem Brunneck, pomimo twojej miny pogrzebowej, i wielkiej niełaski mojej matuni. Spuść się na mnie!

Porwał kuzyna pod ramię i śmiejąc się wesoło za sobą pociągnął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czerwona sakiewka.

Powiastka przez K. H.

Godzina piąta wieczorem wybiła na wieży, a we wielkiem mieście ma każda godzina swoją stałą, odrębną cechę. — Ta cecha zmienia się może stosownie do pory roku, ale za rok z pewnością powróci, w tych samych charakterystycznych kształtach. Był to posępny wieczór grudniowy; zapalacze lamp rozpoczęli już swoją czynność, okna magazynów okazały się w całym blasku i w korzystnem oświetleniu gazowem podwajały swoje całodzienne ataki na kieszenie mężów, marzenia dandysów, zachcianki smakoszów, a na ulicy poruszał się, chodził, powracał, trącał i prześcigał się ten sam różnorodny tłum, który codziennie o godzinie piątej popołudniu służył za sztafaż w obrazie wielkomiejskiego życia. Tu poważny, okrąglutki papa z łysiną jak lustro pod jedwabnym kapeluszem zdążał zwolna do klubu, obok niego przeciskała się gromadka krzykliwych żaków powracających ze szkoły; dalej poruszała się para dandysów szukając, kogo by zdobyli. Tam spieszyły do domu dwie panie elegancko ubrane, a pakieciki złożone na mufkach świadczyły, iż powracały one z tego strasznego dla mężów zajęcia, które Anglicy „*shopping*“ nazywają. — Były tam i pokojówki w krochmalnych fartuszkach i szewskie chłopcy, ci haje wielkomiejskiego bruku i krzyczący w niebogłosy handlarze obważanków lub kasztanów; jednem słowem niezbywało ani na jednej figurze potrzebnej do oddania wiernego obrazu ulicy o godzinie piątej popołudniu.

Na rogu, który oświetlał jaskrawo blask padający z sąsiedniego sklepu, poczęła się zbierać gromadka ludzi. Żaki powracające ze szkoły byli pierwsi na miejscu, do nich przyłączył się papa i handlarz kasztanów; szewski chłopiec przecisnął się w pierwszy rząd rozsuwając wszystkich bez ceremonji na bok. — Nawet stara przekupka nie zdołała oprzeć się ciekawości i opuściła swój stolik przy rogu ulicy, zdając rozłożony na nim ponętny towar na łaskę lub niełaskę szewczuka. Scena, która stała się powodem tego małego zbiegowiska, była czemś tak zwykłem, tak codziennnem pośród wielkiego miasta; nic tam niebyło do widzenia, prócz gromadki ludzi, a pośród niej płaczącego rzewnie, ubogiego chłopca. Mógł on liczyć lat 15, chociaż wskutek swojej nadzwyczaj wątłej budowy wydawał się znacznie młodszym.

Bez czapki, odziany tylko w podartą koszulę i lekkie połatane spodnie, stał boso na zimnym bruku, a wychudłe członki zsiniałe od zimna trzęsły się jakby miotane wewnętrzną gorączką. Ręce łamał z rozpaczy, a łzy spływały oficie po schorzałej twarzy i spadały na obnażone piersi, z których wydobywały się ciche jęki. Przed nim były rozsypane na bruku czerepy zbitego dzbanka z mlekiem, które mięszając się z ulicznem błotem spływało zwolna do rynsztoka.

„Jakiś chłopiec od rzemieślnika; boi się zapewne, że go obiją za dzbanek i mleko.“ — rzekła stara przekupka powracając do swego stolika. Żaki szkolne zadrwiły sobie z niego. Papa stanął, uśmiechnął się i poszedł dalej; para dandysów zatrzymała się również, lecz raczej w celu wygodnego przypatrzenia się małej modniarce, niż ze współczucia dla płaczącego chłopca. Każdy stanął, spojrzał, uśmiechnął się, wzruszył ramionami, albo rzucił jakąś uwagę i poszedł dalej swoją drogą, a mały nędzarz wciąż płakał i płakał.

Ktoby mu się był jednak uważniej przypatrzył, musiał spostrzedz od razu, że w tej twarzy było coś niezwykłego. Była to twarz wychudła i pozapadana, takiej niesłychanej, przeźroczystej bladości, że nawet płacz i zimno nie zdołały na niej wywołać śladu i kolorów. Tę bladość podnosiły jeszcze czarne jak kruk, gęste włosy, które w nieregularnych kędziorach układały się nad skończenie pięknem czołem. Wszystkie linie tej twarzy, usta pięknie zakrojone, nos tych kształtów, które podziwiamy u włoskiego chłopca Murilli, pomimo wszystkich śladów nędzy i zabiedzenia, tworzyły całość godną pędzla tego mistrza. To wrażenie podnosiły jeszcze duże, ciemne, łzawe oczy, w których przebijała się jakaś dziwna, nieskończona miękkość, jakaś nieopisana uczciwość. Przypatrzeć się dokładnie tej twarzy, wejrzeć głębiej w to ciemne oko, wystarczało, aby utworzyć sobie w wyobraźni cały romans, aby sobie zadać pytanie jaki tajemniczy los rzucił tę istotę w jej dzisiejsze warunki.

Płaczący chłopiec stał jeszcze ciągle pośród grupy ciekawych, która uzupełniała się zawsze nowemi zastępy, skoro ten lub ów znudzony poszedł swoją drogą, gdy nagle cała ta scena wzięła niespodziewany obrót.

Pośród tłumu osób przechodzących ulicą, znajdowała się młodziutka, zaledwie 15 letnia panienka. Może powracając z odwiedzin od jakiej przyjaciółki, może z wykładu w pensji, przesuwała się zgrabnie i szybko pomiędzy przechodniów, a cała jej powierzchowność, ruchy i ubranie wskazywały tak wyraźnie wypieszczoną córeczkę pańskiego domu, że do uzupełnienia tego wrażenia nie potrzeba było rosłego lokaja w szeroko galonowanej liberji, który w pełnem uczuciu godności wzorowego *valet de pied*, poruszał się krok w krok za nią.

„Co to się tutaj stało?“ zapytała lokaja przechodząc obok opisanej grupy ludzi.

Lokaj zasięgnął natychmiast informacji u przekupki i z kapeluszem w ręku zdał sprawę swej młodej panience. W tej chwili ustąpiło się przypadkiem kilka osób, odsłaniając przed jej oczyma przedmiot, który był powodem zbiegowiska. Rzuciła okiem na małego nędzarza i chciała już przejść obok tej sceny ulicznej, lecz jakiś głos wewnętrzny zatrzymał ją mimowolnie na miejscu. Przez jakąś chwilkę naturalna nieśmiałość dziecięca, staczała w niej ostatnią walkę z głosem dobrego serca. Przez tę chwilkę można było przy-

patrzeć się wygodnie jej twarzy oświetlonej jasno blaskiem z okna sąsiedniego sklepu. — Była to piękna twarzyczka 15 letniej córeczki wielkiego świata, w której regularne i szlachetne rysy przyszłej piękności, poczynały się już wyraźnie wykłuwać pod konwencjonalną skorupką zwykłego podlotka. Cerę miała śnieżnie białą, a rumieniec, który wystąpił teraz na jej twarzy, miał ten nieskończenie delikatny koloryt, który można czasami widzieć w rzeczywistości, którego jednak żaden pędzel oddać nie zdoła. Włosy były jasne, bardzo jasne, lecz nie miały ani tej lnianej barwy, którą widzimy czasami na główkach skandynawskich piękności, ani tego zwykłego u blondynek połysku. Były to włosy tej rzadkiej, a tak pięknej, łagodnej, szarawej barwy, pełnej miękkości, które nadobnej główce mogą dodać coś tak niewymownie zachwycającego. — Pozostaje nam jeszcze mówić o jej oczach, a wiele dałoby się o nich powiedzieć. Nie były to oczy ani ciemne, ani jasne, ani czarne, ani błękitne, które tak pięknie z pod ciemnych brwi i rzęsów młodej panienki spoglądały. To jedno pewne, że były duże, że była w nich jakaś dziwna mięszanina barwy szarej, w której okazywały się chwilami jakieś błękitne, to znowu brunatne cienie; że były cudne, zachwycające i kto tylko im się przypatrzył, mógł z góry zapowiedzieć, iż po niewielu latach staną się te oczy niebezpieczną, bardzo niebezpieczną bronią. — Dzisiaj jednak z pewnością nie wiedziała jeszcze ich właścicielka jaką broń posiada, a przynajmniej nie umiała nią władać, bo inaczej nie byłaby jej twarzyczka zarumieniała się coraz bardziej z każdą sekundą, przez którą czuła spojrzenia otaczającej ją grupy, nie byłby jej głos tak drżał z nieśmiałości, gdy się wreszcie zdobyła na zapytanie biegnego chłopca: »Dlaczego ty tak płaczesz?«

W tym srebrnym głosie musiał być jakiś ton, który przemawiał do jego serca i poruszył w niem bratnią strunę; do tej bowiem chwili nie odpowiedział ani razu na ciekawe zapytania otaczających go ludzi, na dźwięk zaś tego głosu, spojrzał na nią jakby przebudzony i niedał długo czekać na odpowiedź.

„Jakiś chłopiec wytrącił mi z ręki dzbanek z mlekiem, oto zbił się, — rzekł, wskazując na szczątki dzbanka, „a mnie za to w domu zabiją“ i począł znowu rzewnie płakać. Młoda panienka spojrzała z naiwnem zdumieniem na bruk; szukała tam zapewne szczątków jakiegoś kryształowego naczynia, spostrzegłszy bowiem te nędzne czerepy, zapytała jakby niedowierzając: „Jakto, twój ojciec lub matka mieliby cię zabić za ten gliniany dzbanek!?“

„Ja niemam ojca ani matki“ odpowiedział głuchym głosem młody paria... „Niemasz ojca ani matki!“ powtórzyła półgłosem młoda panienka, a w jej pięknych oczach, które przebiegły całą postać biednego sieroty i spoczęły wreszcie na jego twarzy, zabłysły jak brylanty dwie cudne łezki.

„Ja ci dam pieniądze, idź odkup dzbanek i mleko“ — rzekła, sięgając do kieszeni swojego pięknego futrem obłożonego płaszczyka i wydobywając małą czerwoną sakiewkę. Chciała oczywiście wyjąć z niej kilka groszy, lecz nagle zmieniła swój zamiar i oddając mu całą sakiewkę, rzekła. „Oto masz pieniądze, idź teraz, oni ci już nic nie zrobią.« — Potem przesunęła się szybko pomiędzy ludzi i znikła w drzwiach przeciwległej, pięknej kamienicy.

Biedny chłopiec stał jeszcze przez chwilkę, patrząc to w te drzwi, to na sakiewkę w swoim ręku, lecz zimno, które trzęsło jego członkami, przebudziło go rychło z zamyślenia; rękawem otarł łzy i nabywszy nowy dzbanek i mleko powrócił do domu. — Zaraz na wstępie do nędznej, brudnej izby, powitały go dwie ohydne postacie, dwa istne obrazy nędzy, występku i pijaństwa, jego żywiciel i tegoż żona, całą lawiną przekleństw i złorzeczeń i zapewne nie byłoby się na tem skończyło, gdyby nie był okupił swego spóźnienia, oddając im cały skarb, który otrzymał od swej młodej dobrodziejki. Pieniądze oddał im wszystkie lecz jeszcze na ulicy wyjął je z czerwonej sakiewki i ukrył ją starannie za koszulą. — Odtąd ta sakiewka stała się jego nierozdzielnym towarzyszem; nosił ją zawsze przy sobie, oglądał ją po niezliczone razy dziennie i z nią w ręku zasypiał na swem posłaniu ze zgniłej słomy. Izydor, takie było jego imię, był oryginałem w swoim rodzaju. Jego pryncypał nazwał go półgłówkiem, bo nie mógł go nauczyć kraść, pomimo wszelkich obelg i katuszy, któremi starał się wpoić w niego tę sztukę; inni ulicznicy ze sąsiedztwa naśmiewali się z niego i nadali mu miano „durnego Izia.“ — Nie mówił on prawie nigdy, chyba odpowiadając na zapytania, nie umiał nawet głośno płakać, gdy go lżono i bito, nie robił nigdy psot, nie bawił się nigdy z innemi chłopcami. Jak tylko czuł się przez chwilę wolnym od swoich katów, było całą jego rozrywką usiąść gdzieś na kamieniu i sparłszy głowę w dłoniach, patrzyć marzącem, łzawem okiem ciągle w jedno miejsce. W takiem zadumaniu zdołał pozostać przez całe dnie i zapomnieć o wszystkiem, dopóki go nie przebudziły złorzeczenia i nielitościwe razy jego prześladowców... Nikt nie wiedział gdzie się Izydor urodził, kto byli jego rodzice. Przed 15 laty znaleziono go jako kilkodniowe niemowlę owiniętego w cienką bieliznę i miękkie poduszki na progu domu podrzutków. Z tamtąd oddano po kilku latach biednego sierotę, do jego obecnego pryncypała niby na wychowanie i wyuczenie go później rzemiosła stolarskiego. Od tego dnia rozpoczęła się cała epopea cierpień, nędzy, krzywd i katuszy dla tego opuszczonego dziecka, wypisana żywemi głoskami na jego schorzałej, pozapadanej twarzy i wątłej postaci. Izydor okazywał od swoich pierwszych lat to bierne, ciche, marzące usposobienie, które czyniło go przedmiotem tylu drwin i naśmiewania. Nikt go nie widział wesołego, śmiejącego się lub rozmownego i wiecznie przymglały ciche łzy, jego duże, czarne oko.

Dzisiaj jednak okazywała się jakaś dziwna zmiana w całem usposobieniu małego nędzarza. Oko jego błyszczało całym swoim ogniem, na bladych, wychudłych policzkach okazał się lekki rumieniec; z pogodną, prawie uśmiechniętą twarzą spędził resztę dnia, wykonał wszystkie prace, którémi go otoczono i szczęśliwy rzucił się wieczór na swe nędzne posłanie, aby śnić o czerwonej sakiewce i swej młodej dobrodziejce... Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się dzisiaj, że ktoś przemówił do niego łagodnie, że spojrzano na niego ze łzawem okiem współczucia, ze starano się go wesprzeć i ochronić. Dotąd patrzał ciągle na brud, nędzę, występek; słyszał tylko przekleństwa i złorzeczenia, doznawał tylko krzywd i katuszy, nie znał nikogo, niemówił dotąd z nikim prócz swoich żywicieli, a w tych wszystkich, których spotykał na ulicy, nauczył się widzieć tylko automatyczne figurki, należące tak samo do pojęcia ulicy, jak domy, sklepy, kamienie brukowe i inne przedmioty, które tam widywał. — Dla tego też postać tej młodej panienki przybrała w wyobraźni nieszczęsnego sieroty jakieś dziwne, nadludzkie kształty, a ta krótka chwila, podczas której widział te piękne, szarawe oczy, zwrócone na siebie, pierwsze oczy, które spostrzegł dotąd patrzące nań bez wyrazu złości, nie zaczerwienione pijaństwem, nie pałające zwierzęcą srogością, tworzyła jakąś nową epokę w jego nędznem życiu. — To też wrażenie tej chwili stało wciąż niezatarte przed jego duszą; wszędzie gdzie spojrzał, gdzie się zwrócił, we śnie i na jawie widział te oczy i czuł się szczęśliwym, spokojnym w ich blasku, zdawało mu się, iż jakiś anioł zospostarł nad nim swe skrzydła. Wszystkie cierpienia i krzywdy wydały mu się od tej chwili mniej srogie; te szary oczy czuwały nad nim, łagodziły jego ból, dodawały mu siły, nadziei, spokoju, wlewały jakiś dziwny balsam w serce tego biednego dziecięcia ulicy. Izydor milczał i marzył jak dawniej, ale jego marzenie nie było już tak przygnębiające, nie nosiło cechy tej głębokiej melancholji. W takich chwilach marzenia okazywał się na jego twarzy jakiś wyraz spokoju; oko było zawsze łzawe, ale nad temi łzami błyszczała jakaś iskierka szczęścia, a czasami przybierała jego twarz taki blask nadziemskiego zachwytu, jakby widział niebiosa otwarte i chóry aniołów i patrzał w jakieś elizejskie obrazy. W sposobie jego życia zaszła również pewna zmiana. Dawniej szukał on podczas południa i wieczór, gdy jego żywiciele poszli do szynku, ich ulubionego przybytku, tylko za jakimś cichym kątem, w którym mógł oddać się swemu dumaniu; od tego dnia zaś, korzystał z każdej takiej chwili, aby pospieszyć na róg ulicy i usiadłszy na kamieniu wpatrywać się w tę kamienicę, w której znikła jego młoda dobrodziejka. Tam widywał ją codziennie w jednem z okien pierwszego piętra, opatrzonem pięknemi firankami; przychodziła tam zawsze w południe, aby podlać kwiatki, oczyścić je z pyłu, oberwać tu i owdzie zwiędły listek lub bawić się z małym ptaszkiem, stojącym pośród kwiatów w pięknej, złoconej klatce. Wieczór, gdy się już w pokoju świeciło, widywał jej cień przesuwający się po firankach, słyszał tony jej fortepianu. Nie pojmował on jakim sposobem te tony powstawały, a właśnie dla tego wydawały się jego wyobraźni tem bardziej czarujące i tajemnicze.

Nieraz światło wychodzące z tego okna łamało się na kwiatkach lodowych, którémi szyby porosły, a Izydor skostniał w swej podartej koszuli, nieraz jego żywiciele pastwili się nad nim srogo, gdy się spóźnił z powrotem, a jednak nie opuścił on ani jednego południa, ani jednego wieczoru swego stanowiska; był on tam zawsze, zawsze siedział milczący na swoim kamieniu i patrzał w to okno; zimą i latem, w mrozy i upały, podczas słoty i łagodnych dni wiosennych. Wieczorem zostawał zawsze tak długo, dopóki światło nie zgasło w oknie, potem stawał i skradał się cicho do domu, ciesząc się że jutro powróci.

* * *

Trzy lata zeszły, trzy lata marzenia dla tego pariasa ulicy; młoda panienka w oknie, której główka pierwotnie przez drugą szybę wyglądała, osiągła już połowę trzeciej szyby swego okna, zamieniła się z dziecka w czarującą dziewicę; lecz Izydor pozostał zawsze tym samym schorzałym, niewyrosłym nędzarzem. I w niej nie zauważył żadnej zmiany; widział ciągle tego anioła opiekuńczego, który mu się objawił onego wieczora na ulicy, myślał o tych szarawych, dużych oczach, ukraszonych łezką współczucia. Nie umiał nawet zdać sobie sprawy, czy go ona spostrzegła przez tyle dni i miesięcy i lat, nie zastanawiał się wcale nad tem, a jeźli czasami spozierała w tym kierunku, gdzie on siedział nieruchomy na kamieniu, to on szukał tylko jej oczu, korzystał z chwili, aby w nie zajrzeć, aby patrzeć, widzieć, upajać się i być szczęśliwym. Od kilku miesięcy widział Izydor, że ona już nie była samą, podlewając w południe kwiatki; że wieczór dwa cienie przebijały przez firankę; — obok niej widywał jakiegoś pięknego, młodego pana. Widział jak ona się śmiała, była wesołą, szczęśliwą, patrzyła na niego tak cudnie, tak cudnie, ach jeszcze cudniej niż wtedy na ulicy na niego spojrzała!... więc i on był szczęśliwym i on uśmiechał się i na jego twarzy błyszczała jakaś niewymowna radość i zadowolenie!

Jednego razu, wśród zimy — wieczór był mroźny i wietrzny — uczuł biedny chłopiec takie drzenie w całem ciele, iż zaledwie zdołał się utrzymać na nogach. Pierwszy raz od trzech lat nie zdołał wytrwać, dopóki światło w jej oknie nie zgasło i zużywając całą resztkę swoich sił, zawlókł się do domu. Miotany silną gorączką i dreszczem rzucił się na swoją słomę, a nazajutrz nie zdołał już o własnych siłach z niej powstać. Jego żywiciele starali się z początku zmusić go do tego biciem i groźbami, widząc jednak że to nie odnosiło żadnego skutku, oddali go do szpitala. Tutaj leżał Izydor w gorączce przez długie sześć tygodni, majacząc o czerwonej sakiewce, o okienku na piątrze, o kwiatkach,

ptaszku w klatce, o szarych oczach i pięknym, młodym panie; a gdy zaledwie mógł stać na nogach, przyszedł jego żywiciel i odebrał go jak uleczonego... Z wytężeniem wszystkich sił doszedł Izydor z nim do domu i upadł znowu na swoje posłanie... Gdy jednak nadszedł wieczór, a jego dręczyciele opuścili go, aby pójść jak zwykle włóczyć się po szynkach, zrobiło mu się tak smutno, tak tęskno, to okienko na piątrze poczęło go tak dziwnie kusić, te szare oczy tak cudnie mu się uśmiechały... Izydor powstał, spróbował swoich sił i spierając się na kiju wykradł się z domu. Lecz cóż to miało znaczyć? Jego okno, to okno tak dobrze mu znane nie było dzisiaj oświetlone!... Natomiast paliły się liczne światła w innych oknach pierwszego piętra, słychać było huczną muzykę... Izydor czekał; światło musiało się okazać i w tem oknie, wszak zawsze i tam się świeciło.

Czekał cierpliwie, a silny mróz styczniowy trząsł jego członkami, przenikał go wskróś, oddech mu zapierał. Nie wiedział jak długo tam siedział. Widział, jak pyszne powozy jeden po drugim wyjechały z bramy, muzyka ucichła, światła poczynały gasnąć...

On ciągle jeszcze czekał; i było mu tak błogo, te szare oczy ze wszystkich stron na niego spoglądały, jego anioł stróż uśmiechał się do niego, przybliżał się, już był przy nim;.... tak, już położył rękę na jego głowie; ach! jak niesłychanie był on szczęśliwym!

. . . .

. . . .

. . . .

Około godziny 2. po północy galonowany portier otworzył bramę, aby wypuścić piękną karetę, która państwa młodych miała odwieźć na kolej. W chwili gdy powóz już miał wyjechać na ulicę, parsknęły konie i skoczyły w bok; kareta zatrzymała się na progu, a pan młody wychylił się, aby zobaczyć co się stało. Przy samej bramie, leżał na bruku trup ubogiego chłopca, a w ręku swoim trzymał czerwoną sakiewkę.

KONIEC.

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

FAŁSZYWY BARON.

Fałszywy baron t. z. baron Karol Hoffman, aresztowany został w d. 23. b. m. w hotelu „zum goldenen Lamm“ w Wiedniu, gdzie zajmował od dwóch miesięcy elegancki apartament, złożony z 3 pokojów. Nie był on tam już nowym gościem, zwykł bowiem zawsze w hotelu tym stawać, ilekroć wracał z dalekich podróży; a był bardzo pożądanym, gdyż dość powiedzieć, że przed kilku tygodniami zapłacił 4.000 złr., a obecnie dług jego wynosi jeszcze 9.000 złr. Hoffman ma bardzo dystyngowane maniery, postać jego barczysta i twarz pełna wyrazu, imponujące wywierają wrażenie, ubiera się elegancko i jest szczodrym aż do rozrzutności. Obok tego nigdy nie brak mu pieniędzy, posiada nieograniczony kredyt i na samym placu wiedeńskim obiega jego wekslów przeszło za 100.000 złr., a z Anglji dochodziły go znaczne fundusze. Mówi on, że jest właścicielem kilku realności w Londynie i wielkiej posiadłości w hrabstwie Kent, z kopalniami węgla, rezprezentującej pół miliona, dalej, że buduje obecnie kanał z Paryża do Havru, że był przedsiębiorcą budowy kolei żelaznych i budów wodnych, jest bowiem skończonym technikiem na uniwersytecie Oxfordzkim i wynalazcą ważnych odkryć na tem polu, za co otrzymał ordery od rozmaitych panujących. Chełpi on się przyjaźnią ks. Walii, bliższą znajomością z ks. Bismarkiem i wielu znakomitościami europejskiemi, co zdaje się być tem prawdopodobniejszem, że w r. 1869 przebywał dłuższy czas w Petersburgu, jako jeneralny konsul Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. W roku zeszłym doniosły dzienniki angielskie, że austryjacki minister finansów baron Hoffman znajduje się w Londynie; tym ministrem był nie kto inny, jak uwięziony dziś awanturnik bar. Karol Hoffman, a przybranie tytułu ministra było mu na to potrzebnem, iż udawał pełnomocnika członka domu cesarskiego, na którego imię wielkie robił zamówienia; między innemi zamówił jacht dla Arcyksięcia Rudolfa, za co otrzymał od armatora gratyfikacji 16.000 złr., oraz w Wiedniu meble i snycerskie roboty do przyozdobienia jachtu za 23.000 złr. W wyższych sferach doszło to do wiadomości i ztamtąd dano wskazówkę policji zdemaskowania oszusta!

Już policja londyńska, w skutku zaprzeczenia dzienników wiedeńskich, jakoby wspólny minister finansów miał być w Londynie, śledziła za Hoffmanem, lecz zdołał się wymknąć z jej sieci. Wszystko to i wiele jeszcze innych sprawek, spowodowało policję wiedeńską aresztować awanturnika, skoro na trop jego wpadła. O godzinie 12 w nocy przyszedł komisarz policji z dwoma ajentami do hotelu, żądając, aby go wpuszczono do pokoju barona, który nie chciał zrazu otworzyć i dopiero podstępem został do tego skłonionym. Gdy mu komisarz misję swoją wyłuszczył, począł się zżymać i grozić, lecz zmiękł widocznie, gdy tenże rzekł do niego: „panie Hoffman, nie rób pan komedyj, wiemy, że jesteś synem szklarza z Karlsbadu.“ Wtedy wsiadł do fiakra, a przedsięwzięta w mieszkaniu jego rewizja przyniosła w plonie mnóstwo podejrzanych papierów, któremi napełnione były dwa kufry. Były to korespondencje i dokumenta w języku niemieckim, francuzkim, angielskim i włoskim. Hoffman, opuściwszy dom ojcowski w 17 roku, podróżował po Anglji, Francji, Rosji, Szwecji i Ameryce i dłuższy czas przemieszkiwał w N. Yorku i San Francisco. W otarciu z wyższem towarzystwem nabrał on ogłady i pozorów wielkiego pana, czem udawało mu się olśniewać świat i odsuwać od siebie podejrzenie.

DYNAMIT.

Dynamit zaczyna odgrywać pewną rolę w *causes célèbres*.

Na Węgrzech, w Tarjan, pewna niezbyt wierna małżonka, chcąc się pozbyć starszego znacznie od siebie męża, właściciela dóbr ziemskich, użyła w tym celu dynamitu.

Powróciwszy raz do domu zastała ona męża w głębokim śnie pogrążonego.

Nie namyślając się długo, wydobyła przechowywany już od dłuższego czasu ładunek dynamitu, położyła go pod łóżko i zapaliła...

Łóżko, sufit pokoju rozerwane zostały na kawałki i odrzucone daleko, a ciało nieszczęśliwego małżonka strasznie poszarpane...

Wybuch spowodował oderwanie głowy i prawej ręki od tułowiu.

Zbrodniarkę, oraz jej „przyjaciela“ stawiono przed sąd..

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.